

CZY HISTORIA POLSKI JEST WYJĄTKOWA?

Dobry wieczór Państwu!

Jestem bardzo wzruszony tą uroczystością, miejscem, w którym się odbywa. Miasto Legnica i jego tradycje są mi bliskie od dzieciństwa. Od 1966 do 1972 r. przyjeżdżałem regularnie na Dolny Śląsk i dziecięcymi oczyma patrzyłem na to dziedzictwo piastowskie, które wtedy odkrywano na nowo. Ta nagroda i jej Patron oczywiście daleko przerastają to, czym się zajmuję i to, jak się tym zajmuję. Myślę, że jeśli jakieś nagrody mogę zdobywać czymś, co robię, to ich właściwym patronem powinien być bohater literacki, bliski jeszcze wielu z nas, tym którzy czytali książki w dzieciństwie – mam na myśli Koszałka Opalka. Ten kronikarz, to wzór rzetelności, którą warto naśladować, kiedy się jest historykiem i kiedy patrzy się z pewną ironią także na swoje miejsce w dziejach.

Ale nie o sobie chcę mówić, nie o moim poczuciu ogromnej wdzięczności i zobowiązaniach jakie rodzi ta nagroda, ale o Polsce i o pytaniu, które wraca współcześnie: czy jest wyjątkowa, czy jest coś szczególnego, czy jest coś szczególnie dobrego w tej historii, co czyni ją ważną dla nas, czy też nie? Powinna być taka jak każda inna historia – typowa, a jeśli się wyróżnia, to czymś złym? Te dwie ostatnie odpowiedzi pojawiają się w tym co nazywamy przestrzenią publiczną, w ostatnich latach szczególnie często.

Przypomnę bardzo dobrze literacko napisany i głęboko przemyślany esej, który opublikowany został w listopadowym numerze miesięcznika „Znak” w 1987 r. Osnuły wokół zagadnienia, czy polskość to nienormalność. To był chyba najważniejszy tekst młodego autora o imieniu Donald, nazwisku Tusk. Przyszły premier Rzeczypospolitej Polskiej zmagął się już wtedy z problemem polskości jako nienormalności, z której chciałby, ażeby następne pokolenie Polskę wydobyło, żeby Polska „znormalniała”. Owa nienormalność przeszkadza nam jak garb, powinna być zrzucana, powinna być wreszcie w nas i przez nas przewyciężona – pouczał młody (wtedy) autor. A więc być jak inni, jak ci, którzy tworzą normę normalności. Zawsze pokazuje nam ona wzór – Zachód, jego aktualny kierunek ewolucyjny. Naturalnie, tęskniliśmy za taką zachodnią normą w latach bardzo zgrzebnego, paskudnego, późnego komunizmu. Ale czy Zachód rzeczywiście zawsze – w każdej postaci, w każdej fazie swojego istnienia – ma być normą? To jest pytanie, które dzisiaj także pada.

Inny tekst, który podejmuje to zagadnienie wyjątkowości polskiej historii pojawił się całkiem niedawno. Ów artykuł pojawił się na łamach najbardziej prestiżowego czasopisma amerykańskiego zajmującego się polityką międzynarodową – "The National Interest", tego samego pisma, w którym ponad trzydzieści lat wcześniej ukazał się głośny tekst Francisca Fukuyamy o końcu Historii. W czerwcu tego roku opublikował tam swój najobszerniejszy, najbardziej ambitny pod względem ideowym i historycznym tekst prezydent Rosji Władimir Putin. Pierwsze słowo artykułu brzmi: Polska. Polska jest w centrum uwagi i interpretacji historii XX wieku Władimira Putina, ogłoszonej światu, nie gdzieś na przypadkowym spotkaniu, ale w najważniejszej wypowiedzi prezydenta Federacji Rosyjskiej poświęconej rozważaniom nad polityką w kontekście dziejowym. To Polska jako sprawca całego zła w XX wieku. Polska, która odpowiada za Holocaust. Polska, bez której nie byłoby II wojny światowej, można byłoby jej uniknąć, gdyby nie Polska. A więc polskość jest tu pewnego rodzaju wyjątkową cechą, ma specyficzną, wyjątkową historię, jest sumą zła. Można więc i tak spojrzeć na historię Polski.

Oba te spojrzenia, skrajne, mówią nam coś o tym, że warto głębiej poszukać, gdzie ta polska wyjątkowość leży. Dlaczego jedni, są tak zmęczeni tą wyjątkowością, że chcieliby się jej pozbyć? Dlaczego inni, najczęściej na zewnątrz Polski ulokowani, mówią o owej wyjątkowości jako o wyjątkowym złu, o odpowiedzialności za największe zbrodnie? Otóż klucz do tej odpowiedzi o wyjątkowości Polski można znaleźć już u samych jej początków. Półzartem, nasz XVIII-wieczny encyklopedysta Benedykt Chmielowski przypominał trzy

etymologii naszej nazwy etnicznej "Polska", "Polanie". Dzisiaj już wiemy, że te jego rozważania wcale nie były takie absurdalne, bo istnienie plemienia Polan jest właściwie przez dzisiejszą naukę historyczną kwestionowane. Nie ma w źródłach nazwy plemiennej "Polanie", natomiast pojawia się słowo "ziemia polska", po raz pierwszy w roku 1000 w kronice, a raczej w *Żywocie mniejszym świętego Wojciecha*. Tam po raz pierwszy pojawia się słowo "Polska". A więc skąd się ono wzięło, od czego? Benedykt Chmielowski pisze, iż jedni twierdzą, że słowo to wzięło się od pola, na którym Polacy żyć i umierać lubią. Drudzy mówią, że Polanie, Polacy, to Polachy – od "po Lechu", a więc po naszym legendarnym władcy, od którego także Lechią nasz kraj jest zwany. Hipoteza trzecia, najciekawsza, przedstawiona przez Chmielowskiego za Paprockim, genealogiem XVI-wiecznym i heraldykiem, przedstawia genezę naszej nazwy w sposób najbardziej istotny z punktu widzenia tej wyjątkowości. Otóż Benedykt Chmielowski mówi, że pewnie to tak było, że księża towarzyszący chrztowi księcia Mieszka w 966 roku, polewając wodą święconą kolejne grupy nakłanianych, czy wręcz zmuszanych przez księcia poddanych w tym zbiorowym akcie chrztu Polski, sprawdzali w tej trudnej robocie, czy postępuje ona we właściwym kierunku i pytali: "Czy już jesteście polani?" A oni odpowiadali: "Jesteśmy polani". A więc jesteśmy polani, polani wodą chrztu od 966 roku.

Niektórzy, jak Jan Długosz i współczesny historyk poznański prof. Tomasz Jurek, brat Marka (byłego marszałka Sejmu i współzałożyciela Ruchu Młodej Polski), twierdzą, że od 965 roku, nie jest to najważniejsze, w każdym razie niewątpliwie jest to, że nie ma historii Polski przed chrztem. I to już jest wyjątkowe. Jest bogata historia Francji, przed chrztem, jest bardzo bogata historia Niemiec przed chrztem, pogańska historia, bardzo ciekawa, bardzo bogata. Jest wspaniała, bogata historia ruska przed chrztem. Przypominam, że państwo ruskie powstaje co najmniej 150 lat przed państwem polskim, ale chrzest następuje 22 lata po chrzcie Polski. Nie wspomnę o historii Węgrów, na przykład arcybogatej historii pogańskiej, zanim dopiero w końcu X wieku, mniej więcej równo z Polakami, władca Węgier przyjął chrzest. A Polska nie ma takich wspólnotowych dziejów pogańskich, zwłaszcza w granicach Polski dzisiejszej, mimo iż tak bardzo chcą tego dzisiejsi tzw. turbosłowianie. Jest teraz takie zjawisko, powiedziałbym specyficzne, poszukiwania owych tradycji, które rzekomo Kościół zniszczył tak skutecznie, że zatarał pamięć tych całych kilkudziesięciopokoleniowych dynastii władców słowiańskich/polskich. Niestety, żaden poważny historyk nie może poprzeć tych teorii, nie ma żadnych autentycznych źródeł, które świadczyłyby o bogatej wielowiekowej historii pogańskiej Polski.

Polska zaczyna się wraz z chrztem. Jest faktem, o czym wspomniałem wcześniej, że jej nazwa pojawia się po raz pierwszy w roku 1000, w tekście spisany na Awentynie, a więc w Rzymie. Tam jest źródło Polski, na Awentynie, gdzie dotarł brat św. Wojciecha zamordowanego trzy lata wcześniej w misji, i gdzie to świadectwo o męczeństwie św. Wojciecha zostało ubrane w formę żywota spisanego w jednym z klasztorów rzymskich. Słowo Polska pojawia się więc nie tylko jako potwierdzenie tej, powiedziałbym półzartobliwie przedstawionej genealogii, że jesteśmy polani wodą chrztu. Ale co z tego polania wynika? Otóż słowo "Polska" pojawia się w konkretnym kontekście misji, zadania. Zapisane jest po raz pierwszy w następującym zdaniu. Mówi Wojciech w owym żywocie: "Z ziemi Polan [*de terra Polanorum*] przybywam do was, dla waszego zbawienia". Nie zostaliśmy polani po to, żeby sobie iść potem, położyć się w łóżku i spać. Nie, od polania zaczyna się zadanie, o którym przypomina nam się na chrzcie, w kolejnych sakramentach, kiedy chrzest przyjmujemy jeszcze nieświadomie czy nie w pełni świadomie. Przyjęcie chrześcijaństwa wiąże się z pewnym zadaniem, obowiązkiem. I tak to jest zinterpretowane bardzo szybko, zaledwie trzydzieści kilka lat po przyjęciu chrztu w samej nazwie "Polska". A więc mamy jakąś misję do zrobienia. Brunon z Kwenfurtu, który jest autorem owego żywota świętego Wojciecha, a w nim cytowanego tutaj zdania, sam poległ dziewięć lat później w misji na ziemi podlaskiej. Ten wielki niemiecki święty jednocześnie jest chyba najlepszym patronem bardzo trudnej, ale tak

potrzebnej przyjaźni polsko-niemieckiej. W liście do króla niemieckiego Henryka II, w czasie toczony przez niego wojny przeciw Polsce, Brunon stał całkowicie po stronie Bolesława Chrobrego i przestrzegał swojego pobratymca króla (późniejszego cesarza) przed grzechem pychy teutońskiej, jako wielkim zagrożeniem dla wspólnoty chrześcijańskiej. Św. Brunon pokazał, że trzeba iść drogą wytyczoną przez świętego Wojciecha: że ta misja kieruje nas na wschód, właśnie tam gdzie jeszcze są nieochrzczeni, gdzie są poganie.

I tu wchodzimy w następny aspekt wyjątkowości polskiej historii. Otóż jeśli spojrzymy na moment, w którym Polska pojawia się na mapie Europy i porównamy z dniem dzisiejszym, to zadziwia, jak bardzo podobne miejsce zajmujemy. W państwie Mieszka I żyło, jak się szacuje, od 600 tysięcy do 1 miliona mieszkańców. Na wschód od państwa Mieszka był kaganat ruski (jak nazywano wtedy organizacje ziem ruskich, wschodniosłowiańskich, wprowadzoną ponad 100 lat wcześniej przez skandynawskich Waregów), w którym żyło od czterech i pół do sześciu milionów mieszkańców. Na zachód od Polski było Królestwo Niemieckie, konglomerat wielu księstw, które jednak miały jednego króla, zarazem cesarza chrześcijańskiej Europy. W owym konglomeracie państw niemieckich żyło od trzech do czterech milionów mieszkańców. A więc Polska pojawiła się między dwoma najliczniejszymi na kontynencie europejskim i najsilniejszymi, a także dużo starszymi od niej wspólnotami polityczno-etnicznymi. To nie jest łatwe: między Rosją a Niemcami. To określenie jest oczywiście uproszczeniem, ale takim, w którym ujawnia się istota geopolitycznej wyjątkowości położenia Polski. Bo jeżeli na całym świecie ktoś może nie wiedzieć, gdzie jest Polska, to gdzie są Niemcy, ojczyzna Adolfa Hitlera, i gdzie są te różne kształty przybierające, z różnych metamorfoz politycznych wynikające wcielenia Rosji – to już prawie każdy na kuli ziemskiej potrafi powiedzieć. Bo te kraje zostawiły bardzo silne piętno, w dobrym i w złym, w historii ludzkości. Żeby przetrwać pomiędzy takimi dwoma gigantycznymi kołami młyńskimi, największymi w Europie kontynentalnej, trzeba wykazać wielki hart i zdolności.

Na takie położenie, być może, należałoby spojrzeć z innej niż geopolityczna perspektywy. Można w nim dostrzec pewne opatrnościowe zadanie, którego pojąć do końca nie możemy, ale trzeba je odczytywać wciąż na nowo. Ale to nie koniec owej trudnej wyjątkowości: Polska stała się między XI a XX w. domem dla największej liczby przedstawicieli narodu żydowskiego. A wszak naród żydowski, nie tylko w ostatnim tysiącu lat, ale od trzech tysięcy lat, odgrywa zasadniczą rolę w historii ludzkości.

Trzeba może przypominać te najprostsze prawdy, które wszyscy Państwo znacie i bez mojego wykładu. A jednak tych banalnych danych naszego niebanalnego zbiorowego losu jakby nie doceniamy. Polska pozostaje i trwa pomiędzy Rosją a Niemcami. Mimo że wyrosła wskutek owego historycznego trwania i aktywności polskiego ośrodka polityczno-kulturowego, na wschód od nas mogły wyodrębnić się z pierwotnej wspólnoty kaganatu ruskiego i wytworzyć własną odrębną tożsamość Ukraina i Białoruś, które nadal opierają się wchłonięciu przez Moskwę. Litwa ostała się jako państwo, nie roztopiła się w wielkiej Rusi, także poprzez unię z Polską. Jednak geopolitycznie wciąż Rosja chce ogarnąć te tereny i mieć znowu tutaj swoją granicę albo przesunąć ją dalej, na granicę z Niemcami. Uznaje dopiero Niemcy jako swojego sąsiada, którego nie wcieli, nie wchłonie. Podobnie pani kanclerz Merkel wciąż przejęczyła się – chociaż jest bardzo sympatycznie do Polski nastawiona, ale wciąż przejęczyła się – i wyraża jakby głęboko zakorzeniony w niemieckiej mentalności pogląd, iż wschodnim sąsiadem Niemiec jest Rosja. Geograficznie wiadomo, że Rosja nie jest sąsiadem Niemiec, a jednak Niemcy „czują” inaczej. Trzeba sobie to uświadomić, żeby zrozumieć szczególne miejsce, przesłanie wynikające już nie z chrześcijańskiego „polania”, ale z tego, co można nazwać dziedzictwem Uranii, najstarszej z muz – tej, która patronuje przestrzeni.

Stwierdźmy więc: w takim położeniu geopolitycznym nie jest łatwo być. Ale czy trzeba być za wszelką cenę, czy może warto być tylko wtedy, kiedy coś szczególnego reprezentujemy?

Bo przecież to dążenie, żeby tu nie było nic między Rosją a Niemcami, żeby była co najwyżej granica na Wiśle czy gdziekolwiek indziej, mogłoby być usprawiedliwione w oczach świata, gdyby nic tutaj wartościowego pomiędzy Rosją a Niemcami nie powstało.

A zatem wraca pytanie, gdzie będziemy szukali tej szczególności historii Polski, która uzasadni jej istnienie, która uzasadni jej wartość? Otóż o części tej specyfiki, która łączy się także z pozytywną wartością, a nie tylko z takim oskarżeniem, jakie wysuwa prezydent Putin, już usłyszeliśmy, przypominając rolę, jaka wynika z ochrzczenia i połączenia tego chrztu z misją skierowaną na Wschód. Składa się na nią to wszystko, o czym była mowa jeszcze przed moim wykładem, a co wynika z samej osoby i symbolicznego znaczenia Patrona tej nagrody, Towarzystwa i Bractwa. Henryk Pobożny symbolizuje znaczenie obrońcy pewnej wspólnoty, w której przestrzeń staje się Europą, to znaczy miejscem, gdzie łacińsko-grecka tradycja klasyczna spotyka się z chrześcijaństwem. Staje się domem chrześcijaństwa, tym środowiskiem, w którym chrześcijaństwo się zakorzenia i z którego rozprzestrzenia się na świat. Polska znajduje się na granicy tego świata. I stąd już wynika część jej roli, jej misji. Tak nie było w 988 r., kiedy książę Rusi Włodzimierz przyjął chrzest Bizancjum. Wtedy, przypomnijmy, nie było jeszcze schizmy, nie było podziału. I Piastowie, i panujący na Rusi Rurykowicze żenili się między sobą, łączyli tyłoma związkami, ile z żadną inną dynastią nie połączono dynastii piastowskiej. Nie było więc wtedy żadnej przepaści. Pojawiła się ona w momencie, o którym dziś mówimy, to jest w chwili, kiedy od najazdu Batu-chana zaczęła się okupacja mongolska, która w świecie ruskim trwać miała 250 lat. Wywarła ona ogromny wpływ: 250 lat okupacji zewnętrznej wobec świata chrześcijańskiego, wobec świata europejskiego, wobec świata śródziemnomorskiego. Cywilizacja mongolska jest cywilizacją odmienną, bardzo odmienną. Ona zostawiła swój głęboki ślad za naszą wschodnią granicą – ale nie utrwaliła się na zachód od tej granicy! Dlatego owa granica stała się właśnie granicą między cywilizacyjnymi wpływami.

Co zrobił Henryk Pobożny? Oddalił zagrożenie, że Polska też znajdzie się w strefie panowania imperium stepowego z Azji. Nie wiemy, czy Mongołowie byli w stanie pójść dalej. Wiemy jednak, że takie było ich pierwotne zamierzenie. Wiemy o tym z listu chana Gujuka do papieża Innocentego IV, że chciał zająć cały świat, że takie były jego ambicje i chciał, aby „papież Zachodu” (bo tak nazywał papieża) złożył mu hołd. Chciał, żeby wszystko na tej ziemi było pod panowaniem chana. Ale ta strefa duchowej opieki, którą roztaczał „papież Zachodu”, kończąca się na Polsce, została obroniona przez Henryka Pobożnego i jego rycerzy. Cofnął się Batu-chan. Kolejne najazdy tatarskie czy mongolskie będą spadać jeszcze wiele razy na Polskę, ale żaden nie zostanie tu na stałe. Ruś przekształciła się tymczasem w to, co po mongolsku nazywało się Urus ułus, czyli ruska część (dziedzina) imperium mongolskiego. Polska nigdy nie stała się ułusem, marchią zachodnią tego imperium. To właśnie utrwala granicę cywilizacyjną na wschód od nas.

Niezwykle ciekawe świadectwo tego położenia Polski na granicy daje – odkryty niedawno, bo zaledwie w 1965 r. z rękopisu odnalezionego przez bibliotekarzy z Uniwersytetu Yale, którzy zakupili ten rękopis pochodzący z Nadrenii – skromny braciszek z klasztoru franciszkanów z Brzegu, którego imienia nawet nie znamy. Wiemy tylko, że był „C” z Brzegu (a więc tylko inicjał jego imienia znamy), który zostawił fascynującą kronikę z podróży do stolicy imperium mongolskiego w Karakorum, od 1245 do 1247 r. Przez blisko dwa i pół roku trwała ta podróż, zaledwie pięć lat po bitwie pod Legnicą. Papież Innocenty IV wysłał tę misję, żeby odpowiedzieć na list chana mongolskiego. Oczywiście, odpowiedzieć nie hołdem, tylko informacją o tym, że świat chrześcijański stoi na swoich wartościach, nie zamierza z nich rezygnować. Otóż ten właśnie braciszek z Brzegu napisał po tym niezwykłym doświadczeniu – to było jak wyprawa na Marsa dla kogoś z ówczesnej Europy – iż według Tatarów:

[...] świat dzieli się na część wschodnią i zachodnią, Zachód zaś zaczyna się od kraju Liwonii (czyli dzisiejszej Łotwy) i rozciąga poprzez Prusy aż do Grecji oraz dalej obejmuje cały Kościół katolicki.

Dlatego nawet Tatarzy nazywają Ojca Świętego wielkim papieżem całego Zachodu. Pozostała natomiast część zwie się Wschodem.

To jest właściwie w myśli średniowiecznej Europy pierwsze tak określone przeciwstawienie: Wschód – Zachód, bo oczywiście w starożytności mamy już ten podział, ale nieco inaczej identyfikowany – kiedy Persowie symbolizują Wschód zagrażający Zachodowi, czyli Grekom. Tutaj mamy na nowo zdefiniowany ów podział, w sposób, który pozostaje czytelny do XXI w. Według tej samej granicy, przedstawionej przez skromnego franciszkanina z Brzegu w 1247 r., rysuje granice między Wschodem a Zachodem całe grono twórców teorii cywilizacji w XIX i XX w. Najpierw Mikołaj Danilewski – Rosjanin, potem Polak Feliks Koneczny aż do Brytyjczyka Arnolda Toynbee: wszyscy rysują w tym samym miejscu granicę cywilizacyjną. Polska niewątpliwie jest na tej granicy po stronie zachodniej. Owa granica jednak nie jest wyrysowana w oceanie, nie oddziela Wschodu od Zachodu żadna naturalna przeszkoda. Tę granicę tworzą ludzie, tworzą kolejne pokolenia – i mogą ją przesunąć. Nasza misja polega na tym, żeby ją przesunąć z Zachodu na Wschód, a zarazem nie dać przesunąć granicy cywilizacyjnej ze Wschodu na Zachód. Przed realizowaną zbrojnie przez Mongołów próbą pochłonięcia tego, co jest Zachodem i przekształcenia na modłę wschodnią bronił rzeczywistości połowy XIII w. Henryk Pobożny. Walczył o to, by Zachód pozostał Zachodem, by obronić Zachód – a zarazem polski, piastowski dom: Europę, a zarazem Śląsk, świat łaciński, a zarazem Legnicę – tę najmniejszą ojczyznę księcia Henryka – przed przyłączeniem do Wschodu, do obcej cywilizacji niechrześcijańskiej, fundamentalnie różniącej się systemem swoich wartości od tego, co reprezentowała łacińska Europa.

Czy jednak wyczerpuje naszą specyfikę to, co odnajdujemy w 1241 r. w bitwie pod Legnicą? To, co odnajdujemy w 1683 r. w bitwie pod Wiedniem? W 1920 r. w Bitwie Warszawskiej? A więc tylko walka o utrzymanie granicy Zachodu? Dodam przy okazji jeszcze jedną datę, by przypomnieć ją z pewnym wyrzutem, że nie dość staramy się pamiętać jeszcze jeden, być może najważniejszy od bitwy legnickiej, a raczej między nią a Bitwą Warszawską, moment starcia Polski w tej roli – to jest bitwę pod Chocimiem w 1621 r. Wtedy Polska sama, bez żadnej pomocy stawiała czoła całej potędze imperium osmańskiego. A groziło coś jeszcze gorszego niż w przypadku zdobycia Wiednia w 1683 r., bo 60 lat wcześniej imperium tureckie było jeszcze w stanie Europę podbić, gdyby Polska wtedy runęła. Ale nie runęła. A więc przypominam te kolejne daty (w tym Chocim 1621, bo w przyszłym roku powinniśmy obchodzić 400-lecie tej wielkiej obrony), by zaakcentować, jak wielokrotnie powtarza się ten schemat znaczenia wyjątkowości Polski jako rzeczywistego, czynnego przedmurza. To określenie tutaj paść musi, ono jednak nie wyczerpuje zagadnienia wyjątkowości polskiej historii. Tak rozumiana wyjątkowość oznaczałaby tylko, że – no cóż mamy pewną ważną misję, ale ogranicza się ona do jednego – do wzięcia do ręki miecza i bronięcia tego, czego właściwie nie zbudowaliśmy. W takiej roli jesteśmy tylko strażnikami, „bramkarzami” – że użyję bardziej prymitywnego i celowo brutalnego porównania – którzy pilnują wstępu do czegoś, w czym nie mają twórczego udziału. Otóż tak nie jest. Istota wyjątkowości Polski polega na tym, że tworzy się w niej od tysiąca lat coś wyjątkowego i wartościowego jednocześnie, co nie da się zmierzyć tylko i wyłącznie siłą miecza oraz odwagi naszych przodków, wykazanej w walce z przychodzącymi z Południa czy Wschodu zagrożeniami dla cywilizacji europejskiej i chrześcijaństwa.

Polska stworzyła swoistą kulturę polityczną i swoistą kulturę po prostu. To jest – jak pięknie mówił już pan Tomasz Łysiak – kultura wolności, republikańskiej wolności. Tutaj trzeba sięgnąć do naszego pierwszego wielkiego historyka, mistrza Wincentego – błogosławionego Kościoła katolickiego i biskupa krakowskiego. Mistrz Wincenty od czasów tzw. oświecenia często był wyśmiewany. Dzisiaj jednak się to zmieniło. Obecnie widzi się w nim wybitnego intelektualistę, mistrza stylu i erudycji wyjątkowego w skali całej współczesnej mu Europy. Mistrz Wincenty w swojej kronice przedstawia wizję całkowicie

oryginalną na tle wszystkich kronik średniowiecznych. Te bowiem wywodziły historię sławionych przez siebie narodów czy dynastii wprost z raju – od Adama i Ewy, albo z Troi – od Hektora czy któregoś z innych bohaterów klasycznej opowieści greckiej. Mistrz Wincenty wcale nie szuka tej genealogii, on zupełnie inaczej pokazuje sens naszego wspólnotowego pochodzenia. Polska, a raczej Lechia, bo używa tej nazwy, zaczyna się w momencie, kiedy książe Krak zostaje wybrany i ustanawia prawa, którym sam się poddaje. To jest początek Polski, czyli powstanie wspólnoty politycznej opartej na prawie, w której władza nie stoi ponad prawem. Coś zupełnie wyjątkowego, coś, co odzwierciedla nie tylko geniusz mistrza Wincentego, ale pewne realia, których odbicie znajdujemy jeszcze przed jego kroniką. Oto już w 1157 r. niejaki komes Zbylut, fundując klasztor w Łeknie, podpisuje się „Obywatel Polski” – *Civis Polonis*. Nie ma w Europie, w żadnym kraju takiego podpisu: „Obywatel Niemiec”, „Obywatel Italii”, „Obywatel Anglii”, „Obywatel Francji” czy Hiszpanii. Nie istnieje coś takiego. Byli, owszem, obywatele Florencji, byli obywatele poszczególnych komun miejskich, bo w miastach to poczucie obywatelstwa w średniowieczu było silne, ale wspólnoty tak szerokiej, jak Polska pojęcie obywatelstwa nigdzie indziej nie obejmowało. Obywatel to jest ten, który jest współgospodarzem, nie jest tylko poddanym; nie jest poddanym autorytarnej władzy księcia czy króla, ale współtworzy tę wspólnotę.

Jesteśmy wolni w Polsce, nie jesteśmy poddanymi. To jest właśnie istota polskiej kultury politycznej, którą wyraża także formuła Rzeczpospolitej, wprowadzona przez mistrza Wincentego i wielokrotnie przez niego powtarzana. Niezależnie od tego, czy jest król, czy nie ma króla – tworzymy Rzeczpospolitą, rzecz wspólną, której jesteśmy obywatelami. A co jest istotą tej Rzeczpospolitej? Tu znowu pojawia się fenomenalna definicja sprawiedliwości, jakiej próżno szukać gdziekolwiek poza kroniką mistrza Wincentego. Sprawdzono pod tym kątem wszystkie kroniki średniowieczne europejskie, wszystkich filozofów starożytnych. Tylko mistrz Wincenty stworzył taką definicję. Brzmi ona tak:

Et dicta est justitia quae plurimum prodest ei qui minimum potest –
Mówi się, że sprawiedliwość polega na tym żeby najbardziej pomagać temu, który może najmniej.

A więc mamy pomagać słabszym. A kto jest najsłabszy w dzisiejszej cywilizacji? Oczywiście, dzieci nienarodzone, a na drugim miejscu starzy, bezsilni ludzie poddawani eutanazji. To są najsłabsi w cywilizacji Zachodu w XXI w. Nie ci silni młodzieńcy 30-letni, z telefonami komórkowymi, w markowych butach, przedzierający się nielegalnie przez granice europejskie z Azji czy Afryki, z błogosławieństwem polityków europejskich. Nie, to nie oni są najsłabsi, tylko te miliony dzieci mordowanych co roku w Europie, i nie tylko w Europie, w Stanach Zjednoczonych, w Rosji. Ale niezależnie od tego, kto jest najsłabszy (bo nie zawsze dzieci muszą być ofiarami – jeśli nie będziemy ich mordować, to inne grupy mogą okazać się w większej potrzebie), jeżeli będziemy pamiętali o zasadzie sprawiedliwości, którą tworzy mistrz Wincenty na użytek kolejnych pokoleń Polaków, to będziemy wiedzieli, jak się zachować i co jest istotą polanej wodą chrztu polskość: pomagać najsłabszym.

Jak to się łączy z tym, o czym mówiliśmy wcześniej, z geopolityką? Otóż jeżeli jesteśmy między dużo silniejszymi od nas potęgami, to musimy zrozumieć, że nie wygramy tylko siłą. Siła, oczywiście, jest nam do życia potrzebna. To nie jest żadna tyrada przeciwko budowaniu własnej siły, budowaniu nowoczesnego państwa. To wszystko jest nam potrzebne. Ale sama siła nie wygra. Tego uczy nas nasze doświadczenie historyczne. Niemcy zawsze były mocniejsze od nas i prawdopodobnie będą jeszcze długo od nas mocniejsze. Rosja była, jest i prawdopodobnie długo będzie mocniejsza od nas. A Niemcy i Rosja razem połączone na pewno pozostaną mocniejsze od nas. Czy z tego wynika, że mamy się poddać, kapitulować przynajmniej przed jedną z tych sąsiedzkich potęg? Mamy powiedzieć, że rezygnujemy z naszej specyfiki odmiennej historycznie niż Niemcy i Rosja? Czy mamy powiedzieć, że silny zawsze wygrywa? Nie, musimy przypominać o tej fundamentalnej zasadzie cywilizacji

chrześcijańskiej i uparczywie wprowadzać ją w życie międzynarodowe. Ona, oczywiście, wnikała do kultury europejskiej średniowiecza nie przez Polskę tylko, ale przez sam wpływ chrześcijaństwa. Nie można było zlikwidować małego księstwa tylko dlatego, że jest małe. Nie. Aż do traktatu westfalskiego, kończącego wojnę trzydziestoletnią w połowie XVII w., ta zasada obowiązywała. Przestała obowiązywać w momencie, kiedy polityka zaczęła się odcinać ostentacyjnie nie tylko od inspiracji religijnej, ale od moralności. Taka „odetyczniona” polityka zatriumfowała ostatecznie w momencie rozbiorów Polski. To był symbol zupełnej zmiany języka polityki międzynarodowej, w której pojawiło się uzasadnienie, że można zlikwidować jakieś państwo tylko dlatego, że jest słabsze.

Otóż w odpowiedzi na tego rodzaju wyzwanie pojawiła się specyficzna polska myśl o prawie narodów. Myśl, o której także wspomniął pan Tomasz Łysiak, mówiąc o najlepszych czasach prawa w polskiej historii. Mam na myśli naukę prawa. Dzisiaj ta nauka nie jest w najlepszym stanie, jeśli chodzi o uniwersytety polskie, ale początek XV w. był to złoty wiek polskiego prawa, czasy Pawła Włodkowica i Stanisława ze Skarbimierza – pierwszego rektora odnowionego Uniwersytetu Krakowskiego. To oni stworzyli tę doktrynę rzuconą na arenę międzynarodową, najwyższą, na sobór w Konstancji w 1416 r., że nawet papież, nawet papież z cesarzem razem wzięci nie mogą zabrać ziemi nawet poganom, jeśli ta ziemia jest prawnie posiadana, bo już z Biblii wynika, że ludzie nieochrzczeni od czasu Adama i Ewy posiadali ziemię legalnie i nikt nie miał prawa, nawet pod pozorem misji chrześcijańskiej, zabierać im tej ziemi. A więc słabszym, nawet pod najszlachetniejszym pozorem, nie wolno zabrać ich prawa. To mówili polscy prawnicy, doświadczeni przez zderzenie z siłą uzbrojoną dodatkowo w argument słusznej misji wyzwania z pogaństwa. Takie niebezpieczne połączenie reprezentował zakon krzyżacki. Trzeba się było przed nim bronić, trzeba było pokazać, że siła militarna zakonu – nawet jeśli doda się do niej argument o misji wobec pogańskich Litwinów – nie może być skuteczna. Nie wolno zabrać Litwinom ziemi pod pozorem ich chrzczenia, głosili polscy prawnicy. Ta argumentacja odradza się w XVIII w. Tworzący wówczas swoje książki uczony pijar z Wilna Wincenty Skrzetuski, z którego podręcznika do historii uczył się jeszcze Józef Piłsudski, napisał w swoim podręczniku prawa, a po nim powtórzył jeszcze przed Konstytucją 3 Maja Adam Wawrzyniec Rzewuski w swoim dziele o Rzeczypospolitej, że podbijanie obcych narodów pod pozorem onych „polerowania” (czyli cywilizowania, jak to lubiono argumentować w czasach tzw. oświecenia) – jest po prostu hańbą.

Mówiło się już wtedy o tym, że można ingerować w życie innych narodów, podporządkowywać je, bo jest norma, wzór normalności europejskiej w Paryżu, w Londynie czy w Niemczech, i jeżeli ktoś nie spełnia tej normy – jak Polska rzekomo nie spełniała – to wolno ją rozebrać, wolno zlikwidować, żeby „polerować”. Bo sami Polacy nie są zdolni do wypolerowania się, czyli do ucywilizowania, więc muszą przyjść Niemcy, musi przyjść Katarzyna II, musi przyjść cesarzowa Teresa czy cesarz Józef i ich urzędnicy, by tych brudnych Lechitów ucywilizować. Na to odpowiadał już ks. Wincenty Skrzetuski, że to jest pozór taki sam, jak ten, którego używali Krzyżacy, odwołując się, oczywiście fałszywie, do Krzyża. W XVIII w. pojawia się ta argumentacja, z którą dziś mamy do czynienia – odwołanie do pewnego wzorca cywilizacji i wartości z chrześcijaństwem niemających już nic wspólnego, jako normy, która jeśli jest nieprzestrzegana, to wolno w imię „implementacji” tego wzorca niszczyć niepodległość suwerennych państw. Na to odpowiada polska niezgoda na zniewolenie, o której mówił Ronald Reagan w swoich najważniejszych przemowach. Mówił o polskim wzorze (przypomnijmy, to były czasy oporu wobec wprowadzonego na rozkaz Moskwy stanu wojennego), wzorze dla cywilizacji europejskiej. Ta wspaniała niezgoda na zniewolenie – to jest kolejna bardzo ważna cecha polskiej wyjątkowości, polskiej misji historycznej wobec sąsiadów.

Skąd jednak bierze się powracający stale w naszej historii problem zagrożenia zniewoleniem? Czy tylko z położenia geopolitycznego? Nie, otóż wiąże się on z połączenia

położenia geopolitycznego z tym, o czym mówiliśmy na samym początku – z konsekwencjami połączenia historycznej tożsamości Polski z polaniem wodą chrztu, z tym, że są wciąż Polacy, którzy nie chcą zdradzić tego, co wynika z chrztu. A jego strumień dopłynął do nas ze źródła, które bije w Rzymie, z Awentynu, z bazyliki św. Piotra. Polska zatem nie może odejść od swojej katolickiej, łacińskiej tożsamości. To od co najmniej XVII w. budzi furję tych, którzy chcą zniszczyć katolicyzm. Potop nie wziął się z niczego – mówię o czasie, który opisał w środkowej części Trylogii Sienkiewicz. Najazd szwedzki, do którego dołączył się kalwiński książę Siedmiogrodu, a jego współuczestnikami chcieli być także kalwińscy Radziwiłłowie i luterkański książę w Prusach, to była część wojny religijnej. Jan Amos Komenski – słynny pedagog, który prześladowany w imperium Habsburgów znalazł przytulisko w tolerancyjnej Rzeczypospolitej, a dziś symbolizuje jeden z najważniejszych programów edukacyjnych współczesnej Unii Europejskiej – był autorem planu zniszczenia tejże Rzeczypospolitej, ponieważ był protestantem, który do głębi duszy (nie wszyscy protestanci takie stanowisko zajmowali, to nie jest ogólne oskarżenie pod ich adresem) nienawidził Polski jako kraju zasadniczo katolickiego i uważał, że bez zniszczenia katolickiej Polski nie uda się zapewnić triumfu „prawdziwej wolności” w Europie. Krwawy dyktator protestanckiej Anglii Oliver Cromwell pisał wtedy właśnie, że trzeba „zetrzeć róg na czole bestii”. Owym rogiem była Polska, „bestią” – papież, katolicyzm. Przywódcy obozu protestanckiego wzywali więc króla Szwecji Karola Gustawa, by zniszczył ten przyczółek katolicyzmu w Europie.

To był początek tego, co dzieje się już w niechrześcijańskim świecie, zupełnie niezwiązanym z tradycją konfliktu religijnego rozdierającego chrześcijaństwo w XVII w., ale wiąże się ze zderzeniem cywilizacji niechrześcijańskiej, antychrześcijańskiej w istocie z chrześcijaństwem w ogóle już w XVIII w. Kiedy Wolter mówi: „écrasez l'infame” – a więc „wymażmy, zniszczmy tę hańbę”, czyli Kościół katolicki, staje się głównym ideologiem zniszczenia Polski. Oczywiście, dostaje jeszcze pieniądze od Katarzyny – bardzo solidne sumy – za pisanie antypolskich paszkwili. On i jego koledzy, francuscy encyklopedyści, tworzą ten obraz, który do dziś funkcjonuje – Polska jako ostoja ciemnoty i zacofania, zabobonu, która jest wstydem dla Europy. To nie jest wytwór ostatnich 5 czy 50 lat, to jest wytwór co najmniej ostatnich 250 lat. I wiąże się właśnie z połączeniem polskiej wierności idei chrztu i położenia geopolitycznego, kiedy ów negatywny wizerunek Polski można było nie tylko wykorzystać w propagandzie, ale wykorzystać jako uzasadnienie zaboru, zniszczenia Rzeczypospolitej. To, niestety, także tworzy pewnego rodzaju wyzwanie i wyjątkowość losów Polski.

Byli historycy, którzy próbowali bagatelizować rozbiory, mówiąc, że właściwie nie były one niczym nadzwyczajnym. Przecież w tym samym czasie zniknęła Republika Wenecka, istniejąca dłużej od Rzeczypospolitej, w czasie wojen napoleońskich wymazano z mapy wiele księstw niemieckich. Strasznie płytko patrzą owi historycy, bo przecież żaden z tych krajów nie był załącznikiem całego narodu, ale co najwyżej jego małą częścią; żaden też nie był krajem drugim co do wielkości w Europie, a taką powierzchnię miała Rzeczypospolita w momencie pierwszego rozbioru; ale, co ważniejsze, żaden nie miał tak licznej i świadomej narodowo elity. Bo około 250-300 tysięcy ludzi nie tylko czytało i pisało po polsku, ale abonowało pisma i czytało broszury polityczne, w których najważniejszym hasłem były: „Polska i patriotyzm”. To była szkoła Komisji Edukacji Narodowej, to była szkoła stanisławowskiej Polski, szkoła nowego patriotyzmu, patriotyzmu – można powiedzieć – polskiego. W odróżnieniu też od innych narodów przeszkodą do odbudowania politycznej wspólnoty polskiej nie było jedno imperium. Irlandczycy zmagali się tylko z Anglikami, Węgrzy zmagali się z Austriakami – z Habsburgami, Czesi podobnie. A Polska musiała zmierzyć się z trzema spośród pięciu najsilniejszych imperiów europejskich. Żaden inny kraj nie miał takiego doświadczenia. Z trzema, czyli z Prusami, Rosją i Austrią. To pokazuje skalę wyjątkowości zmagania polskich o to, ażeby wybić się na niepodległość w XIX i XX w. A jednak hasło niepodległości

nie poddało się w starciu z taką potęgą, z taką wyjątkową – powiedziałbym – koniunkcją imperiów przeciwko Polsce.

Jeśli już na koniec chcielibyśmy zmierzyć symbolicznie skalę tej wyjątkowości Polski i jej historii w XIX i XX w., to przyjrzyjmy się kilku grobom. Symbolizują one różne odpowiedzi na problem polskiej wyjątkowości, polskiego losu. Jeden grób znajduje się w ścianie kremłowskiej, tam są pochowani najważniejsi ludzie dla komunizmu, dla władzy sowieckiej. Tam jest pochowany Feliks Edmundowicz Dzierżyński. Polak, a raczej dziedzic tradycji Rzeczypospolitej, tej samej tradycji, co jego sąsiad z powiatu Józef Piłsudski. Ale wybrał rezygnację z niepodległości. Wobec zderzenia z tą „polską nienormalnością”, wybrał poszukiwanie wyzwolenia na innej drodze: na drodze nienawiści do polskiej tradycji, nienawiści do wszelkiej narodowej tradycji. Jest niewątpliwie wybitną postacią, bo całkiem tuzinkowych zbrodniarzy nie chowano w ścianie kremłowskiej. Drugi przykład postaci wyjątkowej z przełomu XIX i XX w. – Marysia Skłodowska, najważniejsza kobieta w każdym podręczniku światowym. Gdybyście Państwo chcieli wiedzieć, która kobieta polska jest najbardziej popularna (poza siostrą Faustyną, oczywiście w środowisku chrześcijańskim czy katolickim), to wystarczy spojrzeć do podręczników chińskich, gdzie jest osobny rozdział o Skłodowskiej jako o przykładzie kobiety sukcesu. Jest tam także podkreślona jej polskość. Podwójna laureatka nagrody Nobla została pochowana w Panteonie, najważniejszym świeckim miejscu dla świeckiego superpaństwa francuskiego. Nie zerwała z Polską, ale jakby pogodziła się z tym, że nie Polska będzie dla niej najważniejsza, nie ta tradycja, nie ta wyjątkowość ją przykuje, tylko wyjątkowość pasji naukowej: tak trafiła do Panteonu francuskiego. I trzeci grób, trzecia postać: Karol Wojtyła, Jan Paweł II, który spoczywa w bazylice św. Piotra w Rzymie. Te trzy miejsca: mury kremłowskie, Panteon paryski i bazylika św. Piotra, symbolizują różne możliwości odpowiedzi na wyzwanie, bardzo trudne wyzwanie wyjątkowości Polski.

Ale, by nie rozglądać się po tych grobach, dorzucę już na sam koniec garść nazwisk, które mówią o wyjątkowości polskiej historii: Józef Korzeniowski – Conrad, czy odszedł od polskości, kiedy opisywał „jądro ciemności” europejskiego, a ściślej zachodnioeuropejskiego kolonializmu? Wyrażał w istocie nie tylko doświadczenia z Afryki, ale także doświadczenia z Polski poddanej uciskowi caratu rosyjskiego, postawionej na granicy cywilizacji, gdzie przemoc cywilizacyjna rosyjska i germańska chciały zgładzić polskość. To było nasze doświadczenie „jądra ciemności”, a zarazem najsurowsza chyba krytyka zachodniej cywilizacji, jaką sporządził pisarz należący do tej cywilizacji, Conrad – Korzeniowski. Ale trzeba przypomnieć także siostrę Faustynę – powracając do tego momentu polania i do przekonania do wiary głębokiej, że wynika stąd misja, misja czysto duchowa dla całego świata. Obraz Chrystusa Miłosiernego stał się chyba najpopularniejszym wizerunkiem Zbawiciela uformowanym według jednego wzoru na świecie – tego z wizji skromnej Ewy Kowalskiej, siostry Faustyny. Można go spotkać czy w Nowym Jorku, czy w Montevideo, czy w Sajgonie, czy niemal w każdym kościele katolickim na świecie. To także świadczy o tym, że polskość jest wyjątkowa, bo wszak świadomie z Polski właśnie siostra Faustyna wyprowadziła tę potrzebę rozniecenia iskry, która ma odnowić chrześcijaństwo. Ojciec Kolbe to kolejny czytelny symbol, o którym tutaj była mowa, że jego imię staje się jakby znakiem sprzeciwu wobec nowej cenzury. Nie tylko polega ona na tym, że znakomity obraz mistrza, który namalował także Henryka Pobożnego, nie może być dostępny w sieci, ale przypomnijmy niedawną decyzję radnych miasta Szczecina, którzy nie zgodzili się na ulicę imienia ojca Kolbego w jednym z największych polskich miast. To także pokazuje różne odpowiedzi na pytania o wyjątkowość Polski. Dla wielu „polskość to nienormalność”. Ci wołają: nie chcemy ojca Kolbego, bo to antysemita był... Do tego się sprowadza ta „wizja krytyczna”. To jest w istocie wizja całkowicie zgodna z duchem i zapotrzebowaniem geopolitycznym Władimira Putina: to Polska odpowiada za Holocaust, to jedyne źródło jej wyjątkowości. Nie czcimy sprawcy Holocaustu, bo tak jest przedstawiany w owej perspektywie ojciec Kolbe, do tego jest

zredukowany. Również z tego samego powodu z takim trudem przebija się do świadomości powszechnej wyjątkowy heroizm czynu Witolda Pileckiego.

Można by wymieniać tych przykładów więcej, można by wymieniać tych wcieleń polskiej misji więcej niż tych kilka zaledwie wątków, które tutaj wydobyłem. Zamknę ten wykład taką kłamrą: 9 kwietnia 1241 r. – misja w obronie chrześcijańskiej, łacińskiej Europy, skuteczna misja, zginął bohater tej misji, ale zadanie wypełnił. I późniejsza data – 10 kwietnia 2010 r. Jaka to była misja? To też jest polska misja, misja skierowana na Wschód, misja przypominania prawdy, prawdy o tym, co stało się w kwietniu 1940 r., o straszliwej zbrodni popełnionej przez antycywilizację, na granicy której Polska stanęła w XX w., a która w jakiejś mierze odzwierciedla starsze wyzwanie – to, z którym mierzył się Henryk Pobożny. Przypominanie prawdy o zbrodniczości tego systemu, który stworzył Katyń, jest jednocześnie naszą misją wobec tych, których mamy nadzieję – ja w każdym razie mam nadzieję – będziemy mogli nazwać braćmi, jeżeli pogodzą się z prawdą, jeżeli się nawrócą. Mam na myśli naszych sąsiadów na Wschodzie, tych sąsiadów dalszych, historycznych – Rosjan. Ta misja wydaje się niemożliwa dzisiaj, ale musimy tłuc głową w ścianę na Wschód. Ale i na Zachód. W jednym i w drugim kierunku prowadzić musi nasza misja. Ale przede wszystkim musi prowadzić do naszych własnych domów, do tego, żeby w naszych rodzinach nie zginęła świadomość polskiej wyjątkowości, jej wartości, jeśli chcemy jakkolwiek misję prowadzić na zewnątrz. Dlatego niechaj nas prowadzi duch sługi Bożego Henryka Pobożnego i wspomnienie wielkiej nowenny pracy ducha, którą wykonali Polacy pod kierunkiem Prymasa Tysiąclecia, właściwie już chyba można powiedzieć błogosławionego kard. Stefana Wyszyńskiego. Potrzeba nam takiej pracy na nowo, byśmy stali się godni imienia Polaków. Dziękuję bardzo.

■ **Andrzej Nowak** – wykład wygłoszony 26 września 2020 r. podczas Gali Nagrody im. Henryka II Pobożnego